

Zabawa w Atomice

Jeżeli testy jądrowe są nieszkodliwe, to czemu USA, Anglia i Francja nie przeprowadzają ich na własnym terytorium?"

Greenpeace

Uwaga na wstępie: *W tym opracowaniu używam świadomie nieco archaicznych jednostek Rtg i Rtg/godz, choć jako fizyk wiem, że racjonalniej byłoby używać jednostek promieniowania pochłoniętego. Są one jednak zupełnie nieznane przeciętnemu czytelnikowi po szkole średniej, a poza tym większość materiałów, z których korzystam podaje dane w jednostkach takich, jak powyżej. Gdybym zaczął używać równoległe innych jednostek, czytelnik doznałby pojęciowego zamętu. Pozostaje mi więc trzymać się tej wersji i prosić kolegów fizyków o wybaczenie.*

Od czasu zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki przeprowadzono w różnych krajach co najmniej 2370 wybuchów jądrowych w atmosferze, pod wodą i pod ziemią. Nie można wykluczyć, że było ich jeszcze więcej, ale dopiero od pewnego czasu próby jądrowej nie da się ukryć.

Część ekspertów uważa, że liczba testów jądrowych przeprowadzonych przez ZSRR, Chiny i Francję była większa od podawanej. Na liczbę 2370 wybuchów składają się: 1030 amerykańskich (815 podziemnych i 215 w atmosferze), co najmniej 1000 radzieckich (ustalono 508 podziemnych i 207 w atmosferze), 205 francuskich (ustalono 148 podziemnych i 54 w atmosferze), 45 brytyjskich (z tego 23 na terenie USA), 73 chińskie (ustalono 23 w atmosferze i 20 podziemnych), co najmniej 7 indyjskich i 5 pakistańskich i 4 Korei Północnej. W wyniku tych eksplozji zginęło znacznie więcej ludzi niż w wyniku wybuchu jedynych dwóch bomb, jakich do tej pory użyto w czasie wojny. Wojskowi i politycy właściwie wszystkich krajów atomowych, ale szczególnie ZSRR i Chin, wykazywali przy tym nieprawdopodobne wręcz lekceważenie życia ludzkiego. Podobne lekceważenie mogliśmy obserwować w czasie wszystkich atomowych katastrof, z których najbardziej znane to pożar elektrowni w Czarnobylu i zatonięcie atomowej łodzi podwodnej Kursk. Przypadków świadomego narażania ludzi na napromieniowanie i inne skutki działania energii jądrowej było tak wiele, że omówienie ich wszystkich wymagałoby napisania grubej książki.

Dokładnej liczby ofiar wszystkich testów i awarii jądrowych nie sposób obecnie ustalić, ale są podstawy do przypuszczeń, że przekroczyła ona 3 miliony ludzi. Wiele poczynań władz ZSRR i Chin, związanych z testami atomowymi, śmiało można zakwalifikować jako zbrodnie przeciw ludzkości a nawet zbrodnie ludobójstwa.

Produkt wojny totalnej

Broń atomowa jest logicznym przedłużeniem wojny totalnej, którą prowadziły wszystkie strony II wojny światowej, ale dla sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że aliantom wojna totalna została narzucona przez państwa osi. Niewątpliwie to państwa osi pierwsze zaczęły masowo zabijać ludność cywilną i dokonywać terrorystycznych nalotów bombowych na dzielnice mieszkalne miast. Jednym z najwcześniejszych aktów wojny totalnej była rzeź Nankinu dokonana w 1937 roku przez wojska japońskie. Zabito wówczas w ciągu zaledwie kilku dni co najmniej 300 tysięcy chińskich cywilów.

Alianci początkowo nie bombardowali dzielnic mieszkalnych w miastach przeciwnika, choć niemieckie i japońskie lotnictwo robiło to od samego początku wojny. Dopiero w 1943

roku dowódcy wojsk alianckich doszli do przekonania, że naloty dywanowe są niezbędne do pokonania państw osi.

W połowie lutego 1945 roku Japonia przeżywa pierwsze naloty dywanowe. W tym czasie większość miast niemieckich leży już w gruzach. Do legendy przeszedł nalot 1700 bombowców na Drezno, w wyniku którego zagotowała się nawet woda w rzece, a z miasta nie zostało dosłownie nic.

Superfortece B-29 amerykańskiej Task Force, startujące z Okinawy i inne maszyny startujące z lotniskowców, atakują najpierw lotniska i obiekty przemysłowe między Tokio i Jokohamą. W pierwszym nalocie bierze udział 2000 bombowców. Następnego dnia 1800 bombowców prowadzi atak na dosyć rozległym obszarze w Tokio i wokół Tokio. Japończycy po raz pierwszy oglądają z przerażeniem całe dzielnice zrównane z ziemią. Następnie, w tygodniowych odstępach, nadlatują mniejsze grupy, po kilkadziesiąt bombowców, systematycznie likwidując kolejne fragmenty miasta.

9 marca 1945 roku zapisał się jako dzień zagłady Tokio. Od rana mieszkańcy ze strachem patrzą w bezchmurne niebo. Dobra pogoda nikogo już nie cieszy. Po południu zrywa się silny wiatr.

Miasto jest wielkie, ale drewniano-papierowe. Tradycyjne japońskie domy nie mają piwnic. Lekkie konstrukcje z papieru i drewna miały chronić przed skutkami trzęsień ziemi, ale wobec bomb nie mają nawet ścian chroniących przed odłamkami i płoną jak pochodnie. Nie ma żadnych schronów. Wykopano tylko płytkie rowy na ulicach, które miały zastąpić schrony, ale stały się pułapkami na ludzi.

O godzinie 23.00 wyją syreny, radio informuje o zbliżających się wielkich formacjach bombowców. O północy pierwsza fala z 2400 superfortec B-29 jest już nad Tokio. Nisko lecące samoloty zataczają koła zrzucając bomby napalmowe i fosforowe, wytwarzając zamknięte kręgi pożaru - pułapki na ludzi bez wyjścia. Niezwykle silny wiatr roznosi płomienie. Teraz lecą bomby burzące i odłamkowe. A potem znów fosfor i napalm. I tak na zmianę.

W mieście rozgrywa się piekło. W ciągu trzech godzin jednej nocy zginęło 197 tysięcy ludzi, około pół miliona jest rannych i poparzonych, milion ludzi straciło domy i cały dobytek. Okazuje się, że nad samym Tokio operowało „zaledwie” trzysta maszyn zrzucając 700 tysięcy bomb. Pozostałe 2100 bombowców, z ośmioma tonami bomb każdy, atakowało inne cele, wyrządzając „analogiczne straty”. Wojna totalna osiągnęła apogeum. W ciągu trzech godzin lotnictwo amerykańskiej Task Force zadało Japonii piętnastokrotnie większe straty niż te, które wyrządziły wszystkie naloty niemieckie na Wielką Brytanię. Grunt polityczny do użycia broni atomowej był już przygotowany. W piątym roku wojny opory moralne przed masowym mordowaniem ludności cywilnej dawno już zostały zapomniane.

Akt pierwszy: Almagordo

Zanim zrzucano bomby na Hiroszimę i Nagasaki, dokonano pierwszej, próbnej eksplozji jądrowej 16 lipca 1945 roku, na poligonie w Almagordo (stan Nowy Meksyk). Od razu ujawniły się przy tym dwa zjawiska, które miały później towarzyszyć wszystkim badaniom nad bronią jądrową i znacznej części badań nad energią jądrową: cyniczne lekceważenie ludzkiego życia i potworne kłamstwo. Już przy pierwszym próbnym wybuchu zrobiono to, co później wszystkie państwa atomowe robiły nagminnie: doświadczenia na ludziach, którzy bynajmniej nie poddali się im dobrowolnie. Te doświadczenia, jak i późniejsze podobne, nie miały nic wspólnego z nauką. Nauka nie robi doświadczeń na ludziach bez ich wiedzy i świadomej zgody, a i to uważa się za ostateczność.

Wojskowi wpadli na prosty pomysł: a gdyby tak za pomocą atomówki przełamać front? Nacierające wojska wjechałyby przez epicentrum wybuchu, jak przez otwarte wrota. Jest okazja, by ten pomysł przeciwiczyć. O przebiegu tych ćwiczeń niewiele wiadomo. Trwała

wojna światowa a program atomowy był najściślej tajny, jak tylko można. Ilu żołnierzy amerykańskich przejechało na jeepach i transporterach przez epicentrum zaraz po wybuchu? Ilu przebiegło ten obszar piechotą? Kilkuset na pewno.

Weterani tego wydarzenia wspominali po latach, że musieli „biec w podskokach”, bo ziemia parzyła przez buty, że w niektórych samochodach zapaliły się opony. Jakie dostali dawki promieniowania, nie wiadomo, bo nie mieli klisz radiometrycznych. Wojskowi odnotowali, że wielu żołnierzy miało później biegunkę, niektórym wypadały włosy, ale ostatecznie skonstatowano, że „właściwie nic się nikomu nie stało”. Dopiero po latach, organizacje pozarządowe podniosły alarm, że zadziwiająco wielu uczestników tych ćwiczeń zmarło później na nowotwory.

W Alamagordo jednak odbyto ćwiczenia dopiero po wybuchu atomowym, ale nie w jego trakcie, jak to później robiono wielokrotnie w ZSRR. Skutki zniszczeń badano w inny sposób. Rozmieszczono budynki i pojazdy. W domach rozmieszczono manekiny w sytuacjach takich, aby przedstawiały życie typowej amerykańskiej rodziny. Manekiny siedziały przy stołach, leżały w łóżku itp. Wszystko filmowano. Zaobserwowano po raz pierwszy dziwne zjawisko. Część manekinów, znajdujących się bardzo blisko epicentrum, ucierpiała niewiele, zaś część innych, znajdujących się bardzo daleko, nawet o kilkadziesiąt kilometrów, całkowicie spłonęła. Dziwne ocalenia blisko centrum tłumaczy się dziś pionowym kierunkiem fali uderzeniowej i promieniowania termicznego oraz brakiem wtórnej (groźniejszej) fali uderzeniowej (cisza podobna do tej w oku cyklonu). Powstawania wysp całkowitego zniszczenia w dużych odległościach, o ile wiem, nie wytłumaczono do dziś.

27 lipca 1945 roku uczestnicy konferencji w Poczdamie stawiają Japonii ultimatum: żądanie bezwarunkowej kapitulacji, zanim spadnie na nią „potęga nieskończonej większa od tej, która spustoszyła Niemcy”. Japonia postanawia zignorować ultimatum. W wewnętrznym komunikacie premier Sudzuki używa zwrotu mokusatsu (zabić milczeniem, traktować z milczącą pogardą). Generał Tojo wzywa do samobójstwa „stu milionów” współczesnych Biakkotai (bohaterów, którzy oddali życie za cesarza), następców kamikadze mających atakować wojska amerykańskie w razie inwazji wysp. Na zdobytej już Okinawie siedem milionów marines przygotowuje się do desantu na Japonię. Amerykańskie okręty bezkarnie ostrzeliwują z dział japońskie porty. Bombowce Task Force codziennie równają z ziemią kolejne miasta.

Od 25 lipca dwie bomby atomowe znajdują się już w bazie na wyspie Tianian. Truman wydaje rozkaz: „zrzucić bomby na Japonię po 2 sierpnia, najwcześniej, jak tylko będzie to możliwe”.

Pika-dom

Dziwaczne słowo *pika-dom* powstało w Japonii by określić wrażenie związane z wybuchem bomby atomowej. Można je przetłumaczyć jako pstryk-bum. Ciche pstryk to wybuch kilkuset kilogramów trotylu zgniatającego uran w bryłę o przekroczonej masie krytycznej. Bum to eksplozja jądrowa.

6 sierpnia 1945 roku bombowiec B-29 „Enola Gay” pilotowany przez kapitana Williama Parsonsa, kapitana Paula Tibbetsa i nawigatora majora Thomasa Ferebee z bombą atomowa „Little Boy” startuje w kierunku Japonii. Około 8 rano jest nad Hiroszimą. O 8.05 zostaje odwołany alarm lotniczy. Radio podaje, że pojedynczy samolot oddalił się z nad Hiroszimy. Ludzie obserwują opadający spadochron. O 8.15 Hiroszimę oświetla „blask dziesięciu tysięcy słońc”.

Na wysokości 580 metrów nad ziemią powstaje kula plazmy o temperaturze ponad miliona stopni i średnicy 280 metrów. Promieniowanie termiczne powoduje, że wielu ludzi wyparowało zostawiając tylko cienie na kamieniach, których powierzchnia uległa stopieniu.



Wybuch bomby atomowej nad Hiroszimą. Zdjęcie wykonane z samolotu Enola Gay, który ją zrzucił.

Po jednym z mieszkańców pozostały tylko ślady stóp na zeszkonym chodniku. Wyparował nie zdążywszy się przewrócić. Od ogromnej temperatury wszystko staje w ogniu. Palą się nawet metale. Pierwsza fala uderzeniowa podmuchu, skierowana na zewnątrz, burzy wszystko w promieniu trzech kilometrów i roznosi pożar na niemal całe miasto. Ogromna temperatura w epicentrum powoduje ruchy konwekcyjne powietrza i wtedy powstaje druga fala uderzeniowa: podmuch huraganowego wiatru skierowanego do środka, wznecającego jeszcze bardziej pożar i niszczącego to, co jeszcze zostało. Po ośmiu minutach atomowy grzyb osiąga 13 kilometrów wysokości i 6 kilometrów średnicy. Widać go z odległości stu kilometrów.



Tyle zostało z miasta Hiroszima.

W promieniu trzech kilometrów od epicentrum zniszczenie było całkowite. W centrum tego obszaru, kilkaset metrów od epicentrum nie przeżył nikt. Ci, co przeżyli nieco dalej, byli potwornie poparzeni. Dopiero ludzie znajdujący się w naprawdę dużej odległości, rzędu 40 kilometrów wyszli z wybuchu w zasadzie bez szwanku, ale odnotowano też szereg nagłych zgonów w dużej odległości od epicentrum, nawet w odległości 100 km. Zginęło od razu 70 tysięcy ludzi. 80 tysięcy zmarło następnego dnia. Do końca 1945 roku, przez pięć miesięcy, zmarło kolejne 130 tysięcy. Do dziś na chorobę popromienną zmarło jeszcze ok. 400 tysięcy mieszkańców Hiroszimy.

Trzy dni później, 9 sierpnia 1945 roku, o godzinie 11.01 Amerykanie zrzucili kolejną bombę „Fat Man”, na Nagasaki. Nagasaki to był nadmorski kurort, żadnego przemysłu, celów militarnych. Taki japoński Sopot.

Ile było ofiar obu wybuchów? Różne źródła podają rozbieżne liczby. Najbardziej wiarygodny raport Japońskiego Czerwonego Krzyża podaje 250 tysięcy zabitych i 150 tysięcy rannych w Hiroszynie oraz 120 tysięcy zabitych i 80 tysięcy rannych w Nagasaki. Liczby te nie obejmują zmarłych dużo później na chorobę popromienną. Razem z nimi, łączna liczba ofiar obu bomb jest prawdopodobnie bliska miliona. Nie jest więc prawdziwy rozpowszechniony pogląd, że naloty dywanowe zabiły w Japonii więcej ludzi niż broń atomowa.

15 sierpnia Japonia skapitulowała. Skończyła się wojna, ale promieniowanie zabijało nadal. Do obu miast przybywali ludzie, których nie było tam w czasie wybuchów. Zajmowali ocalałe domy, zaczęli chorować i wyjeżdżali. Ich miejsce zajmowali następni. Część przybyszów, którzy nie byli obecni w czasie eksplozji, zachorowała i umarła. Przez lata rodziły się dzieci z wadami wrodzonymi. Napromieniowanych długo uważano w Japonii za pariasów. Nie mogli dostać pracy ani ożenić się. Przez pierwsze dwa lata nikt się nimi nie zajmował. Długo ukrywano przed nimi naturę bomb. Nie ustanowiono żadnej strefy skażonej, zakazanej dla ludzi. Można przyjąć, że władze japońskie nie zdawały sobie sprawy z zagrożenia dalszym napromieniowaniem, ale amerykańscy wojskowi wiedzieli przecież, jakie bomby zrzucili. Widać jednak nie potrafili przestawić myślenia z zabijania cywilów niedawnego wroga na ich ratowanie.



Cień człowieka, który wyparował w czasie wybuchu w Hiroszynie.

W 1947 roku, amerykańska fundacja ABCC zaczęła prowadzić badania napromieniowanych. Nie leczono ich jednak. Japońskim lekarzom, którzy chcieli leczyć, powiedziano: „nie możecie wykraczać poza cele fundacji”.

Wspomnienia z wojska

W okresie zimnej wojny USA, ZSRR, Anglia, Francja i Chiny przeprowadziły ogromne ilości tak zwanych doświadczalnych wybuchów jądrowych. Dziś można mocno podważyć „doświadczalność” tych testów, bo charakter większości badań niewiele miał wspólnego z nauką. Przeważnie były to po prostu demonstracje siły.

Czy można prowadzić badania naukowe za pomocą wybuchów jądrowych? Można. Natura procesów zachodzących w czasie wybuchu termojądrowego jest ta sama, co procesów zachodzących we wnętrzu gwiazd. Dla astrofizyka może być to okazja do zbadania na ziemi próbki gwiazdy. Można badać różne zjawiska z zakresu fizyki niezwykle wysokich temperatur i ciśnień, no i oczywiście z zakresu fizyki jądrowej. Można, ale przeważnie wcale tego nie robiono. Decydujących o wszystkim wojskowych bardziej interesowało, jak bomba zabija i niszczy. Takie badania nie mają nic wspólnego z nauką. Te badania masowo i na wielką skalę robiono na ludziach i zwierzętach.

Amerykanie pierwsze wybuchy w czasie pokoju robili na poligonach w Nowym Meksyku i w Nevadzie. Szybko jednak, pod naciskiem opinii publicznej, musieli je przenieść poza granice kraju. Zaczęły się próby na Pacyfiku. Było ich 315 (127 amerykańskich, przeważnie na atolu Bikini, 176 francuskich na atolu Mururoa i 12 francuskich na atolu Fangataufa). Na atolu Bikini żyło plemię polinezyjskie złożone z dwudziestu kilku rodzin. Przekonano króla, by zgodził się na „czasowe” przeniesienie całej wspólnoty na inną wyspę. Po serii „doświadczeń” mieli na Bikini powrócić. Dopiero po fakcie Polinezyjczycy zrozumieli, że na swoją wyspę nie wrócą nigdy.

Po wybuchach na Bikini po raz pierwszy zaczęła powstawać społeczna świadomość nieodwracalności skażenia i jego skutków dla przyrody. Pojawiły się pierwsze protesty o charakterze ekologicznym. Głośna stała się sprawa wielkich żółwi morskich, które po złożeniu jaj, zamiast powrócić do morza, traciły orientację, szły w głąb lądu i ginęły. Po raz pierwszy na większą skalę zaczęto zadawać pytanie: jeśli „to” tak działa na żółwie, to jak działa na nas?

Urodziłem się dokładnie w trzy lata po pierwszym wybuchu bomby atomowej w Alamogordo. W szkole uczono mnie o strasznych skutkach amerykańskich bomb na Hiroszimę i Nagasaki. Wiedziałem o biednych chorych dzieciach cierpiących w Japonii na chorobę popromienną. Według propagandy z okresu mojego dzieciństwa, ZSRR prowadził pokojową politykę, zaś Gomułka chciał zbawić świat planem Rapackiego (o utworzeniu strefy bezatomowej w Europie Środkowej). Broń atomowa „z wypisów szkolnych” była wówczas wyłącznie zła - amerykańska. Amerykanie gnębili też Murzynów i zrzucali stonkę. Co innego kraje „socjalistyczne”. Pamiętam rysunek z podręcznika fizyki (niestety nie pamiętam już do której klasy): „pokojowe wykorzystanie energii jądrowej”. Rysunek przedstawiał, jak za pomocą serii wybuchów jądrowych wykopuje się kanał przez góry. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że rzeczywiście Stalin miał taki idiotyczny, nigdy nie zrealizowany (na szczęście), pomysł, by atomówkami wyrąbać kanał przez Altaj i skierować nim wody Angary w celu nawodnienia stepów. Ładnie by ta skażona radioaktywnie woda nawodniła! [Dokładnie to skażona nie jest woda, lecz zawarte w niej osady]

Od 1968 do 1971 roku byłem w wojsku. Po latach przypomniałem sobie dwa fakty, na które wówczas nie zwróciłem specjalnie uwagi.

Wyświetlano nam szkoleniowy film wykonany w ZSRR: Wojsko w okopach i ziemiankach. Żołnierz odbiera telefon z aparatu polowego TAJ. W słuchawce głos: „wołnia, wołnia, wołnia”, to znaczy alarm atomowy, „się wie”. Żołnierze wkładają „bechatki”, hełmy, maski przeciwgazowe i chowają się do ziemianek. Samolot zrzuca bombę atomową na pozycje wroga. W telefonie polowym głos: „Smirna! Idiot udarnaja wołnia! (Uwaga! Idzie fala uderzeniowa!)”. Żołnierze siedzą spokojnie w ziemiankach. Fala przechodzi. „Wpieriod!” Żołnierze wypadają z ziemianek, gaszą saperkami drobne pożary i przystępują do natarcia poprzez zniszczony wybuchem atomowym teren.

Ten film musi jeszcze gdzieś być w wojskowych zasobach. Może dziś odszukałaby go jakaś telewizja i pokazała, co komunistyczni wojskowi planowali zgotować również i polskim żołnierzom. Do takich działań nas szkolono i nikt nas nie informował, że po takim natarciu przez epicentrum możemy chorować lub nawet umrzeć. Wręcz przeciwnie, sugerowano nam, że wszystko będzie O.K. Wówczas miałem 19 lat i nie widziałem w tym nic dziwnego. Zrozumiałem o co chodziło dopiero po latach, gdy zobaczyłem materiały z autentycznych ćwiczeń wojskowych w Tockoje (ZSRR) z użyciem autentycznych atomówek.

Wkrótce zostaliśmy poinformowani, że weźmiemy udział w ćwiczeniach polegających na tym, że zostanie dokonany desant powietrzny na terenach „oczyszczonych” z obrony przez wybuch atomowy. Mieliśmy na te manewry pojechać do ZSRR. Zaczęliśmy przechodzić „szkolenie przeciwatomowe”. Całe to szkolenie wyraźnie nie miało żadnego spójnego planu. Początkowo sprowadzało się do tego, że na komendę mieliśmy włożyć maski przeciwgazowe i płaszcze przeciwchemiczne OP-1, przebiec w tym rynsztunku kilkaset metrów, a potem zmyć z siebie „skażenie” natryskiem. Kadra nie bardzo wiedziała, co z tym szkoleniem robić, więc szybko nabrało ono swojskiej kaprałskiej interpretacji. Wychodziliśmy za jednostkę na piaszczyste wydmy nazywane „Saharą”, gdzie padała komenda: „maski włóż” i „biegiem marsz” albo, po założeniu masek: „kompania śpiew”. Bieganie po piachu i śpiewanie w masce przeciwgazowej nie jest najłatwiejszym zajęciem, więc szybko nauczyliśmy się, że trzeba zawczasu z maski wyjąć zaworki, by oddychać nie przez pochłaniacz, lecz obok. O ile pamiętam, była to jedyna rzecz, jakiej nauczyłem się na „szkoleniu przeciwatomowym”.

Cała sprawa zakończyła się drobną aferą. W kinie jednostki wyświetlano akurat brytyjski film fabularny, pod tytułem „Wzgórze”, o tym jak to źle jest w angielskiej kompanii karnej, bo karzą ludziom biegać pod górę po piachu. Swoją drogą, ten kto nakręcił ów film, chyba nigdy nie był w wojsku. Pewnego dnia, na wieczornym apelu, jeden z naszych kompanijnych rozrabiaków wystąpił i poprosił o przeniesienie do angielskiej kompanii karnej. Wojsko ryknęło śmiechem, a on dostał prace poza kolejnością. Nieco później powiedziano nam, że na manewry nie pojedziemy i „szkolenie przeciwatomowe” się skończyło.

I tu znów mam kilka pytań. Może jest ktoś, kto wie, co to było? Czy tylko bzdurne szkolenie okraszone bajeczką dla szeregowców, czy może ktoś, w 1969 roku naprawdę chciał wysłać polskie wojsko na ćwiczenia z użyciem bomby atomowej? Może ktoś jeszcze pamięta podobne fakty?

Tockoje

W samym ZSRR, w czasach pokoju, dokonano około tysiąca próbnych wybuchów jądrowych. Poligony atomowe rozrzucone były po całym obszarze kraju. Niektóre z wybuchów odbyły się całkiem blisko granic Polski, ale w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nikt nas o tym nie informował. Gdyby wówczas nastąpiła taka awaria, jak w Czarnobylu, też byśmy nie wiedzieli. Poligonów atomowych było w ZSRR aż 110, a największe to Semipałatyńsk w dzisiejszym Kazachstanie, Tockoje między Orenburgiem a Kujbyszewem (700 km od Moskwy) i Nowa Ziemia na Oceanie Arktycznym.

Pierwsza radziecka bomba atomowa wybuchła o siódmej rano 29 sierpnia 1949 roku. Technologia budowy bomby została przez wywiad radziecki wykradzona Amerykanom. Wcześniej w ZSRR nie prowadzono badań z zakresu fizyki jądrowej. Fizyka kwantowa i teoria względności, czyli podstawy teoretyczne badań jądrowych, były w ZSRR zakazane jako idealistyczne. Komunistów zainteresowała dopiero bomba. Specjaliści radzieccy udali się do Hiroshimy i Nagasaki. Delegacja nie interesowała się losem ofiar obu wybuchów i nie wyrażała dla nich współczucia. Członkowie delegacji byli zachwyceni zniszczeniami wywołanymi przez bombę i gorąco poparli dążenie Stalina do posiadania takiej samej.

Gen. Aleksandr Osen tłumaczył dużo później: „Ameryka miała 300 bomb, a my nie. Jakże tak?” Fizyk jądrowy Kurczatow oświadczył: „Uczeni naszej wielkiej ojczyzny, wraz z partią komunistyczną, dołożą wszelkich starań, aby obywatele komunistycznego państwa zapanowali nad przyrodą”. Niektórzy do dziś wierzą w ówczesną argumentację. Emerytowany major Gieorgij Parnijew powiedział w wywiadzie udzielonym Waldemarowi Milewiczowi 50 lat później: „W imieniu pokoju na świecie, radziecka władza i partia podjęły decyzję utworzyć tu (w Semipałatyńsku) atomowy poligon. Uczyniono to wyłącznie w celach pokojowych”. Na uwagę Milewicza, że w wyniku tych działań wielu ludzi zginęło lub do dziś choruje, oświadczył: „O czym tu mowa? Iluż tych ludzi było?”

W Tockoje stacjonowała specjalna jednostka wojskowa używana do testowania na ludziach skutków wybuchów jądrowych. W manewrach z użyciem autentycznych bomb atomowych brało udział 45 tysięcy żołnierzy. Przeżyło te ćwiczenia zaledwie tysiąc. Jednostka nie miała nawet numeru. Oficjalnie nie istniała. Podobnie „nie istniały” miasteczka naukowców pracujących nad bronią jądrową. Na przykład późniejsze miasteczko Kurczatow koło Semipałatyńska. Cały szereg takich tajnych ośrodków miało wspólny adres pocztowy: Moskwa 450.

Całkowicie utajniona była też produkcja bomb. Rudę uranową wydobywali więźniowie. Kopalnia była ich miejscem pracy, domem i grobem. Więzień tylko raz zjeżdżał do kopalni i tam zostawał do śmierci (na ogół dość szybkiej). Promieniowanie w kopalniach uranu przekraczało wielokrotnie wszelkie dopuszczalne normy.

Wspomina robotnik z zakładów produkujących bomby atomowe: „Nasz szef powiedział wprost, że będziemy pracować bez osłon i wskaźników pomiarowych, bo gdybyśmy mieli przyrządy pomiarowe, ich wskazania uniemożliwiłyby pracę, a do tego nie można dopuścić.” Z ludzi pracujących w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przy produkcji bomb przeżyło zaledwie około 2%.

Manewry z udziałem żywych ludzi i bomb atomowych prowadzone były najczęściej na poligonie w Tockoje. Przeprowadzono je także na poligonie koło Semipałatyńska już przy wybuchu pierwszej radzieckiej bomby atomowej. Żołnierzy rozmieszczono w ziemiankach, okopach i nawet zupełnie płytkich transzejach. Dla generałów zbudowano podziemne bunkry wyposażone w peryskopy. Ćwiczeniami dowodził generał Buganin.

Żołnierzom rozdano po dwie pary kalesonów i podkoszulek, zimowe szynele i maski przeciwgazowe. Było bardzo ciepło, +45 stopni, więc wielu żołnierzy ukradkiem zrezygnowało z części tej „ochrony”. Na poligonie rozmieszczono też prawdziwe czołgi, armaty, samoloty i żywe zwierzęta. Zwierzęta rozmieszczono w różnych miejscach, w ziemiankach, okopach i na otwartej przestrzeni. W specjalnych bunkrach umieszczono przyrządy pomiarowe i kamery. W czasie wybuchu filmowały one płonące żywcem owce, obdzierane ze skóry konie, które później, ciągle żywe, okaleczone podrygiwały bezradnie przywiązane do palików. Tego, co działo się z żołnierzami w płytkich transzejach nie filmowano, lub też do dziś nie ujawniono takich filmów.

Dowódcy powiedzieli żołnierzom, że największa dopuszczalna dawka promieniowania to 100 Rtg/godz Kurczatow sprostował tę informację na 50 Rtg/godz. Żołnierze pytali, co będzie, jeśli dostaną więcej. Usłyszeli, że pojedą na pół roku do sanatorium. Dla żołnierza

Armii Czerwonej, w tamtych latach, odbywającego pięcioletnią służbę praktycznie bez przepustek i urlopów, sanatorium to był niemal raj.

Oczywiście żołnierzy perfidnie oszukano. Człowiek może, bez większego szwanku dla zdrowia zebrać **przez całe życie** dawkę ok. 100 Rtg. Takie ilości promieniowania zbieramy stopniowo w naturalny sposób od przyrody. Jest to promieniowanie pochodzące od słońca, promieniowania kosmicznego, pierwiastków promieniotwórczych, których niewielkie ilości znajdują się w różnych skałach itp. Każda dodatkowa porcja promieniowania zwiększa szansę na powstanie nowotworów. Dawka 200 Rtg to pewna ciężka choroba popromienna. 300 Rtg jednorazowo to szybka śmierć.

Czym innym jednak jest uzbieranie 100 Rtg przez całe życie, a czym innym jest pochłonięcie nawet mniejszej dawki, ale w bardzo krótkim czasie. Zebranie 50, a tym bardziej 100 Rtg w ciągu jednej godziny oznacza radykalne skrócenie życia. Natężenie promieniowania 60 Rtg/godz powszechnie uważa się za poziom śmiertelny. *[Tak, tak, wiem, że powinno się podawać dawki w jednostkach promieniowania pochłoniętego, ale wybaczenie, że nie będę czytelnikiem fundował wykładu z fizyki].*

14 września 1954 roku w Tockoje przeprowadzono największe ćwiczenia wojskowe z użyciem broni atomowej. Żołnierzom w płytkich okopach kazano położyć się nogami w kierunku epicentrum, przykryć się szynelami i otworzyć usta. Karabiny mieli wziąć pod siebie, by własnym ciałem chronić je przed zniszczeniem. Wspomina jeden z uczestników tych ćwiczeń: „Byliśmy w głębokim schronie 8 kilometrów od epicentrum. Właz osłoniliśmy głazem ważącym 350 kg. Po wybuchu zniknął. Odczuliśmy wstrząs sejsmiczny i zalało nas jasne światło, choć byliśmy w podziemnym schronie.”

Inny żołnierz, któremu kazano leżeć w płytkim okopie: „Powiedziano mi, że mam schować pod siebie karabin, bo od temperatury lufa może się wygiąć. Pomyślałem: jeśli karabin może się zniszczyć, to co może być ze mną? Gdy dowódcy odeszli, przeniosłem się do ziemianki obok głębokiego okopu, w którym stały przywiązane do palików owce. Po wybuchu owce były strasznie poparzone. Ich wełna spłonęła. Po moim okopie nie został nawet ślad. Podmuch wyrównał teren. Cała ziemia usiana była martwymi ptakami.”

Wielu żołnierzy leżących w płytkich okopach nie przeżyło tych ćwiczeń. Po wybuchu żołnierze pomaszzerowali w kierunku epicentrum dokonując pomiarów promieniowania. Szeregowy Żukow pojechał do epicentrum samochodem terenowym. Był tam po 10 minutach. Zameldował, że odnotował skażenie 75 Rtg/godz. Zmarł na chorobę popromienną. Jeden z samolotów przeleciał przez środek chmury radioaktywnej, czyli tak zwanego grzyba. Pilot wkrótce zmarł, a samolot był tak skażony, że trzeba go było złomować.

Wspomina inny żołnierz: „Dowódcy byli dumni z wyników ćwiczeń. Skoro radziecki żołnierz potrafił przemaszerować przez epicentrum, dowiódł, że nie ma siły zdolnej go zatrzymać.”

Nikita Chruszczow tak uzasadniał konieczność przeprowadzania podobnych ćwiczeń: „Dla uratowania ludzkości warto poświęcić 100 tysięcy, albo nawet 150 tysięcy ludzi”.

W latach sześćdziesiątych żołnierze nadal nie mieli żadnej osłony przed promieniowaniem oprócz szyneli i masek przeciwgazowych. Odbywano wtedy nieco inne ćwiczenia. Żołnierzy rozmieszczono w różnych punktach poligonu na ciężarówkach. Mieli siedzieć tyłem do epicentrum, dość daleko od niego. Dano im papier i ołówki. Powiedziano, że najpierw oślepną i ogłuchną, a gdy już odzyskają wzrok i słuch, mają opisać swoje wrażenia.

Semipałatyńsk

W 1953 roku Związek Radziecki miał już broń termojądrową. Pierwszej eksplozji dokonano w sierpniu 1956 roku na poligonie koło Semipałatyńska. Sacharow, który zdawał

sobie sprawę, że siła wybuchu będzie znacznie większa, wymusił na wojskowych ewakuację ludności z okolicznych wsi. Pozostawiono jednak 64 osoby, przeważnie młodych mężczyzn. Później badano ich, pobierano krew, od niektórych siłą. Wszystkich spito wódką. Część spito na siłę. Jako rekompensatę dano im wódkę i po kawałku kielbasy. Powiedziano, że jak będą pić wódkę, to nic im nie będzie.

W czasie pierwszej próby atomowej na poligonie Semipałatyńsk kierunek wiatru był taki, że radioaktywny pył spadł na utajnione miasteczko Kurczatow, gdzie mieszkali i pracowali twórcy bomb. Opad dotknął też Nowosybirsk i wielu innych miast. Przy następnych wybuchach uważano na kierunek wiatru, by wiał on w kierunku kazachskich wsi. Zasięg opadu radioaktywnego jest jednak bardzo duży. Radioaktywna chmura docierała odtąd na Północny Ałtaj a także na tereny chińskiej prowincji Xinjiang, która jest do dziś najbardziej skażonym rejonem na ziemi. Według oficjalnych źródeł rosyjskich, na Północnym Ałtaju skażenie dotknęło ponad 40 miejscowości zamieszkałych przez 78 tysięcy ludzi. Według organizacji ujugurskich, w rejonie miasta Kaszgar w Xinjiangu, na chorobę popromienną zmarło co najmniej 250 tysięcy ludzi i do dziś w Kaszgarze umiera średnio 25 osób dziennie. W Xinjiangu miały miejsce też chińskie wybuchy atomowe, ale było ich znacznie mniej.

Znacznie gorzej przedstawia się skażenie Północnego Ałtaju według źródeł pozarządowych. Skutkami napromieniowania, według tych danych, miało zostać dotknięte 2,3 miliona ludzi. 21400 osób otrzymało dawki promieniowania aż 800 razy przekraczające dopuszczalną normę. Leonid Iljin, dyrektor Instytutu Biofizyki badającego skutki skażenia w tym rejonie, twierdzi, że w niektórych miejscach promieniowanie przekraczało dopuszczalne normy aż 1800 razy. Ludzie, którzy się tam znaleźli ginęli natychmiast.

Stalin i jego następcy nie przejmowali się ich losem. Górny Ałtaj zamieszkały był przez przesiedlony „element politycznie niepewny”: Tatarów, Niemców i inteligentów. Podobnie nikt nie przejmował się losem Ujgurów w Xinjiangu. Sojusznik Stalina, Mao Zedong, uważał Ujgurów za „naród zdradziecki” i nie protestował przeciw spadającym na nich radioaktywnym pyłom. Nie protestował też jego następca Deng Xiaoping.

Na poligonie koło Semipałatyńska przeprowadzono 469 wybuchów jądrowych, z czego 87 w wysokich warstwach atmosfery, 73 na powierzchni ziemi i 309 pod ziemią, z tych ostatnich jednak, aż w połowie przypadków, substancje radioaktywne przedostały się na powierzchnię, z czego w 39 przypadkach na dużą skalę. 17 lutego 1989 roku podziemna eksplozja po prostu rozerwała górę. Nastąpiło ogromne skażenie, które dotknęło zwłaszcza miasteczko Czagan. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Sprawy nawet nie nagłośniono, choć była to katastrofa ekologiczna porównywalna ze skutkami wybuchu w Hiroszimie. Prób zaprzestano ponad 15 lat temu, a mimo to do dziś na poligonie utrzymuje się średnio promieniowanie 6 Rtg/godz. W kraterze zwanym Kielkiem-1, powstałym po wybuchu „małej” (1,2 kilotony) bomby naziemnej norma promieniowania przekroczone jest 400 razy. Nawet trawa tam nie rośnie.

Ludność kazachską z okolic Semipałatyńska przez czterdzieści lat utrzymywano w nieświadomości, co do natury eksperymentów na poligonie. Mówiono im: „Będą ćwiczenia, wychodźcie na ulice.” Ale jakie ćwiczenia? Tego już nie mówiono. Major Georgij Parmijew tłumaczy Waldemarowi Milewiczowi, że wszystko było w porządku: „Za pięć minut dojdzie do wystrzału, co za różnica z czego, trzeba uważać”. Jego zdaniem takie ostrzeżenie było zupełnie wystarczające.

Zupełnie inne zdanie ma radiolog-onkolog prof. Saim Balmuchorow: „Jest takie powiedzenie, a nuż się uda. Tak myśleli odpowiedzialni za próby atomowe. Bali się, że jeśli każą ludziom zostać w domach, to podmuch może ich tam przywalić i trzeba będzie za to odpowiadać. Lepiej wygonić nieświadomych wieśniaków na ulice, bo tam od razu nie zginą. Promieniowania przecież nie widać. Choroby przyjdą po latach i nikt nie udowodni ich związku z wybuchami. Ot cała logika”

Zmarłym na chorobę popromienną lekarze musieli wpisywać inną przyczynę zgonu. Nie wolno było stawiać diagnozy białaczka lub rak. Ludzie wychodzili z domów i oglądali piękne atomowe grzyby, nawet nie wiedząc, że wystawiają się w ten sposób na promieniowanie. Skąd mogli kazachscy chłopcy wiedzieć, co to jest promieniowanie gamma i jak działa? Nikt nich nie uczył o cząstkach alfa i beta, jądrach atomowych, uranie, plutonie.

Mówi kobieta z trudem poruszająca się o kulach, a właściwie o krześle zastępującym jej kule: „Widziałam z daleka czarny dym. Nie wiedziałam, o co chodzi. A potem przestałam chodzić. Zanieśli mnie do szpitala latem, a gdy odzyskałam przytomność padał śnieg.” (ta i poprzednia wypowiedź pochodzą z filmu dokumentalnego W. Milewicza).

Waldemar Milewicz: „Z prawie każdej zagrody (w rejonie Semipałatyńska) wychodzą do mnie kaleki.”

W Semipałatyńsku powstało określenie „żółte dzieci” dla tysięcy kalek rodzących się z wadami wrodzonymi. Niemal w każdym domu żyją ludzie o potwornie zdeformowanych twarzach, powykręcanych nogach lub rękach, ludzie urodzeni bez kończyn... Prawie w każdym domu ktoś choruje na chorobę popromienną. Co dziesiąty mieszkaniec rejonu otrzymał jednorazową dawkę promieniowania co najmniej 100 Rtg. W rejonie Semipałatyńska i Karagandy 1,2 miliony ludzi choruje na chorobę popromienną. W rejonie Semipałatyńska 85% ludzi ma ciężką anemię, u 70% stwierdza się aberacje chromosomalne.

W instytutach badawczych w Semipałatyńsku, w słojach z formaliną przechowywane są martwo urodzone lub zmarłe zaraz po urodzeniu okaleczone genetycznie dzieci. W Instytucie Bezpieczeństwa Radiologicznego i Ekologii w Kurczatowie przechowywane są w formalinie zwierzęta po testach jądrowych.

„Królik doskonale nadaje się do badań porażen oczu. Mamy więc w słoju całego czarnego królika z wypalonymi ślepkami. Leży też baran bez wełny, porozrywane płuca wielbłądów, popękane serca psów [...]. Jest też łeb krowy i pies z opaloną sierścią. [...] Zamiast obroży drut stalowy wtopiony w ciało od gorąca. Jakoś go trzeba było przywiązać, aby nie nawiał ze swojej strefy. (J. Hugo-Bader, „GW”)

W zakładach w Semipałatyńsku pracowano nad nową generacją broni: połączeniem gazu bojowego, chorobotwórczego wirusa i izotopu radioaktywnego. Podobno nastąpiła awaria i trochę „tego” wylało się na miasto. Liczba „żółtych dzieci” uległa zwielokrotnieniu.

Nowa Ziemia

Nowa Ziemia, to dwie niemal złane ze sobą wyspy na Oceanie Arktycznym. Znajdują się na niej dwa ogromne poligony atomowe utrzymywane do dziś w stanie „30-dniowej gotowości”. W latach 1955-1990 przeprowadzono na nich 132 wybuchy jądrowe (42 podziemne i 90 w atmosferze). Ponieważ obszar Nowej Ziemi jest niemal bezludny, jako królików doświadczalnych używano tu żołnierzy i więźniów rozmieszczonych w specjalnie w tym celu zbudowanych łagrach. Część więźniów umieszczano na barkach zakotwiczonych na morzu.

1 czerwca 1958 roku, kierujący testami akademik Fiedorow stwierdził, że z okazji pięknej pogody można dokonać większej liczby prób. Z kutra raketowego wystrzelono trzy rakiety z głowicami jądrowymi: pierwszą o 8.00 rano, drugą o 14.00 a trzecią o mocy 50 megaton o 15.00. Ta ostatnia bomba była największą odpaloną do tej pory. Jej moc była 2500 razy większa od użytej w Hiroszynie. Kula plazmy miała średnicę blisko 4 kilometrów. Bomba zmieniła rzeźbę terenu. Wyparowały lodowce i zagotowała się wieczna zmarzlina. Kilka tysięcy kilometrów dalej, w Polsce, laboratoria odnotowały krótkotrwały 200-krotny wzrost promieniowania. Ale był rok 1958. W gazetach nie ukazała się nawet wzmianka. Sprawę nagłośnili Finowie.



Wybuch największej bomby atomowej na Nowej Ziemi. Fot. TASS.

Wcześniej mieszkańcom Nowej Ziemi skonfiskowano wszelkie przyrządy pomiarowe, a nawet radiodbiorniki i aparaty fotograficzne. Jednak po pewnym czasie zdjęcia wybuchu opublikowała agencja TASS.

Opowiada laborantka z zespołu badającego skutki wybuchów: „Z Nowej Ziemi pamiętam niezwykle piękną przyrodę. Wszędzie rosły piękne kwiaty. Po wybuchu zrobiło się ciemno jak w nocy. Poczułam, że chodzę po czymś miękkim. Najpierw myślałam, że to myszy, ale to cała ziemia usłana była martwymi ptakami. W miejscowej przychodni lekarskiej długo po tym nie robiono zdjęć rentgenowskich. Nie mieli klisz. Wszystkie się przeświectliły.”

Szeroka, szeroka jest ziemia (radziecka) Szeroko po ziemi więzienia (i poligony atomowe)

Na terenie ZSRR działało 110 poligonów atomowych. Na każdym z nich przeprowadzono średnio 5 eksplozji, z tym, że na trzech największych znacznie więcej. Poligony rozmieszczone były mniej więcej równomiernie niemal na całym terytorium kraju. Kilku co najmniej wybuchów dokonano w niewielkiej odległości od granic innych krajów, głównie Chin i Mongolii, ale także od granic Polski. Eksplozji jądrowych dokonywano na terenie dzisiejszej Białorusi. Obszar skażony tymi testami „dopisano” później do skutków Czarnobyla. Podobno były też eksplozje w obwodzie Kaliningradzkim. Grzyby atomowe powinny być widoczne z Suwałk i Sejna, ale być może ludzie po prostu nie wiedzieli, co widzą. Grzyb atomowy widoczny z odległości ponad 100 kilometrów można wziąć za dużą chmurę lub dym wielkiego pożaru, a towarzysze przecież nie informowali „sojuszników”, co czynią.

Już od pierwszego wybuchu w Almagordo było wiadomo, że każdy, kto widzi grzyb atomowy, otrzymuje potężną dawkę promieniowania. Było też wiadomo, że obszar, na którym nastąpił wybuch, nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi przez co najmniej kilkanaście, a w skrajnych przypadkach i kilkaset lat. Zależy to od siły i rodzaju bomby oraz od tego, gdzie została zdetonowana (w atmosferze, na ziemi, pod ziemią, pod wodą).

Pomimo tej wiedzy Amerykanie dokonywali niektórych wybuchów tak blisko Hawajów, że ich mieszkańcy fotografowali grzyby atomowe. W przypadku prób radzieckich, obserwowanie grzybów przez ludzi, bez żadnych zabezpieczeń, było niemal normą. Szczytem chytrej hipokryzji wykazała się Francja, dokonując niemal wszystkich wybuchów poza własnym terytorium, na Saharze i na Pacyfiku, i za każdym razem tłumacząc, że są one nieszkodliwe.

Przy okazji wybuchów w Semipałatyńsku, ze względu na ich wielką liczbę, ujawniły się zjawiska trudniejsze do zaobserwowania na innych poligonach, ale z całą pewnością występujące wszędzie. Po pierwsze okazało się, że promieniowanie jonizujące ma wpływ nie tylko ciało człowieka, ale i na jego psychikę. Wokół Semipałatyńska i na Północnym Ałtaju zaobserwowano nienormalnie wysoką liczbę samobójstw bez żadnej widocznej przyczyny. Odsetek psychicznie chorych też jest kilkakrotnie wyższy niż gdzie indziej a liczba tak zwanych schorzeń organicznych (czyli chorób psychicznych wynikających z uszkodzenia mózgu) jest nawet kilkanaście razy wyższa od normy.

Wokół wszystkich poligonów atomowych w biednych krajach miejscowa ludność „zaraża się” skażeniem radioaktywnym rozkradając z poligonów różne napromieniowane przedmioty, pijąc skażoną wodę, a już z reguły pojąc nią bydło (Tak naprawdę skażona jest nie tyle woda, co znajdujące się w niej zawiesiny). Ludzie w dalszych częściach kraju ulegają pewnemu skażeniu jedząc mięso świń i krów pojonych radioaktywną wodą i karmionych roślinami rosnącymi na skażonych terenach.

W rejonie Semipałatyńska ludność rozkrada miedziane kable ze sztolni w górze, w której dokonywano wybuchów podziemnych. Kradziona miedź przemykana jest do Chin i tam sprzedawana. Jeden z reporterów zbliżył się z licznikiem promieniowania do zwoju takiego kabla wyciągniętego ze sztolni i jak to określił: „licznik zwariował”. Natężenie promieniowania w sztolniach, do których wchodzi poszukiwacze miedzi, dochodzi do kilkudziesięciu Rtg/godz. Starają się przebywać w nich krótko i piją wódkę. W Rosji powszechne jest przekonanie, że wódka odkaża organizm od promieniowania jonizującego.

W rejonie Semipałatyńska próbowano zrealizować „pokojuowe zastosowanie energii jądrowej”, które pamiętam ze szkolnego podręcznika fizyki. Koło wsi Znamienka, za pomocą bomby o mocy 140 kiloton „wykopano” sztuczne jezioro o średnicy 400 metrów i głębokości 100 metrów. Jak pisze Jacek Hugo-Bader „pojawiły się w nim nawet ryby - tyle że bez oczu”. Uczni radzieccy planowali w ten sposób tworzyć sztuczne oazy na pustyniach.

Stosunek radzieckich wojskowych do miejscowej ludności najlepiej oddaje wypowiedź wiceministra obrony ZSRR marszałka Wasilewskiego skierowana do naukowców przerażonych tym, że wiatr zwiął chmurę radioaktywną, po wybuch bomby termojądrowej o mocy 400 kiloton, nad 250-tysięczny Semipałatyńsk: „Co wy się tak towarzysze uczeni przejmujecie? Każde ćwiczenia wojskowe pociągają za sobą ofiary!”

Xinijiang (Turkiestan Wschodni) - dno piekiel

Naruszanie praw człowieka związane z testami nuklearnymi w ChRL pozostaje prawie całkowicie nieznaną zachodniej opinii publicznej. Nie zauważyła go nawet Amnesty International w swoich raportach ani autorzy wydanej niedawno także w Polsce „Czarnej Księgi Komunizmu”.

W 1950 roku Mao Zedong powiedział: „Nie boimy się bomby atomowej. Ona jest jak papierowy karabin. Ameryka jest tygrysem zrobionym z papieru. O zwycięstwie w przyszłej wojnie decydować będzie nie Ameryka ze swoją atomową bombą, ale Chińczycy ze swym wielomilionowym narodem.”

W 1957 roku Mao głosił: „Nawet, jeśli zginie 300 milionów Chińczyków (w owym czasie połowa populacji), to zostanie jeszcze wystarczająco dużo, by w Chinach zbudować komunizm.” Ze wspomnień Nikity Chruszczowa wiemy, że Mao Zedong namawiał go do rozpętania wojny atomowej z Zachodem, tłumacząc, że skoro zginie tylko połowa ludzkości, to nie ma się czego obawiać. Wiadomo też, że Mao dwukrotnie starał się sprowokować USA do zrzucenia bomb atomowych na Chiny, by w ten sposób wymusić na ZSRR uderzenie odwetowe.

Gdy Nikita Chruszczow dążył do odprężenia między ZSRR a USA, Mao kazał ostrzeliwać z armat dwie wysepki należące do Tajwanu licząc na to, że Amerykanie w odwecie zrzucą na Chiny atomówkę. Mao chciał w ten sposób popsuć Chruszczowowi proces odprężenia. Mówił: „Może sprowokujemy Amerykanów do zrzucenia bomby na Fujian i zginie dziesięć lub dwadzieścia milionów ludzi. [...] Zobaczymy wtedy, co powie Chruszczow.” W innym momencie Mao liczył na to, że Amerykanie zrzucą bombę atomową na miasto Hardlin. Mao zupełnie nie znał realiów zachodniej polityki i, na szczęście, jego prowokacje były zupełnie nieskuteczne.

Począwszy od 1958 roku do wsi w rejonie jeziora Lop Nor zaczęli przybywać chińscy „geologowie”, rozmieszczając liczne przyrządy pomiarowe i budując jakieś instalacje. O tym, czym naprawdę są te „geologiczne” urządzenia, ludność Wschodniego Turkiestanu miała się wkrótce przekonać.

Pierwszą eksplozję nuklearną Chiny przeprowadziły 1 października 1963 roku. Fakt ten ukrywano przed światem przez ponad trzy miesiące. Druga eksplozja atomowa nastąpiła 14 maja 1964 roku. Świat dowiedział się o niej dzięki protestowi ZSRR. Wiele źródeł do dziś podaje błędnie datę tej drugiej eksplozji jako pierwszej. Obydwie eksplozje przeprowadzone zostały na terenach zamieszkałych przez ludność ujgurską, na które dodatkowo sprowadzono nieznaną liczbę więźniów politycznych, służących jako obiekty doświadczalne do obserwacji wpływu promieniowania na ludzki organizm. Nikt dokładnie nie wie, ilu ludzi zginęło nad jeziorem Lop Nor. Nikt nie wie, ilu było więźniów w obozach, zniesionych wybuchem z powierzchni ziemi. Wiadomo, że znikło całkowicie 9 wsi razem z ludźmi, uprawami i bydłem. Siła eksplozji była tak wielka, że w jej rejonie zatarte zostały koryta strumieni i kanały nawadniające, a rzeki wyparowały. W terenie powstała ogromna niecka „jak płaska patelnia wok”.

Naoczny świadek, pragnący zachować anonimowość, który spędził 18 lat w chińskich więzieniach i obozach, a obecnie mieszka w Taszkencie, został umieszczony w rejonie Lop Nor razem z innymi więźniami, na których badano skutki napromieniowania żywego organizmu. Opowiada, że zaraz po pierwszej eksplozji zrobiło się strasznie gorąco, wprost nie do wytrzymania. Przez pierwszy tydzień ponad 300 osób zmarło z objawami ciężkiej biegunki. Tylko „wyjątkowi szczęśliwcy” przeżyli. Cierpią na „choroby płucne” do dziś.

Inny świadek, także mieszkający obecnie w Taszkencie, opowiadał, jak 1 października 1963 roku szedł do pracy przez pola. Był wczesny ranek i było jeszcze ciemnowo. Nagle zrobiło się niezwykle jasno. Pomyślał: „Co to? Słońce wcześniej weszło?” Poczul silny ból rąk i zobaczył, że palą mu się palce, a następnie, że płoną jego włosy i ubranie. Gdy chciał ręką ugasić włosy, skóra z głowy opadła mu na twarz. Do dziś choruje, a znaczna część jego ciała pokryta jest bliznami.

Inny świadek, wówczas młody oficer Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, a obecnie emigrant mieszkający w Kanadzie, obserwował wybuch z bunkra razem z innymi wojskowymi. Po eksplozji wsiedli w samochód terenowy i pojechali do jednostki wojskowej,

która stacjonowała w pobliżu i w ich mniemaniu poza zasięgiem wybuchu. Najwyraźniej wojskowi chińscy nie zdawali sobie sprawy z zasięgu rażenia bomby. W pewnym momencie, od temperatury gruntu, w samochodzie zapaliły się opony. Na skutek ukształtowania terenu, budynków jednostki nie sięgnął podmuch, a jedynie temperatura. Mury stały, a na wapiennym tynku, który zmienił się w marmur, widać było cienie żołnierzy, którzy wyparowali.

Nie znamy siły tej bomby, ale musiała być ona dość duża, bo wiadomo, że kula gorącej plazmy miała w tym przypadku średnicę ok. 900 metrów.

Jeszcze w tym samym 1964 roku przeprowadzono trzecią doświadczalną eksplozję. Do dziś przeprowadzono łącznie 23 wybuchy jądrowe w atmosferze i nieznaną dokładnie ogromną ilość wybuchów podziemnych w rejonie Lop Nor i pustyni Takla Makan, po których rejon ten jest do dziś najbardziej skażonym radioaktywnie obszarem na ziemi. Skażenie pogłębione zostało jeszcze przez to, że po drugiej stronie grzbietu Ałtaju oraz na niezbyt odległym poligonie w Semipałatyńsku odbywały się próby radzieckie. W tym rejonie średnio przez 27 dni w miesiącu wiatry wieją z zachodu na wschód. Chodzi o to, że opady radioaktywne nie znają granic państwowych i większość skażonych pyłów opadła w Turkiestanie Wschodnim. Rząd ChRL nie wystosował z tego powodu ani jednego protestu do ZSRR, co świadczy o tym, do jakiego stopnia lekceważy życie własnych obywateli. Łącznie w Kotlinie Kaszgarskiej opadły pyły po co najmniej 300 wybuchach jądrowych radzieckich i chińskich. Skażenie terenu jest nieznane. Władze ChRL nie pozwalają go mierzyć. Wiadomo jednak, że w niektórych rejonach prześwietlają się zapakowane filmy fotograficzne. Do niedawna z tego powodu, w wielu miejscach, nie można było fotografować. Prześwietlone były wszystkie zdjęcia. Dziś są już aparaty cyfrowe.

Ludność Wschodniego Turkiestanu doznała z powodu skażenia radioaktywnego niewyobrażalnych cierpień i do dziś cierpi z powodu szeregu nienormalnych zjawisk w przyrodzie oraz zmian genetycznych u ludzi, zwierząt i roślin.

Między Lop Nor a miastem Turfan, na przestrzeni 600 do 700 kilometrów, ciągnie się niezamieszkały obszar, zwany Kara Jungle. Składowano tam skażone pojazdy wojskowe i inne przedmioty używane do testowania skutków wybuchu atomowego. Te niestrzeżone magazyny znaleźli myśliwi z Turfanu i począwszy od 1964 roku ludność ujgurska wynosiła stamtąd najróżniejsze „trofea”. Nieco później rozkradaniem pozostałości po atomowych testach zajmowali się głównie mieszkańcy wsi Pichan.

Wkrótce mieszkańcy Turfanu i Pichan zaczęli umierać, a ich ogrody i sady więdły i podupadły. Przyroda stopniowo zmieniała się w spaloną ziemię. Teren był skażony radioaktywnie znacznie bardziej niż później wokół Czarnobyla.

Masowe dolegliwości biegunkowe pojawiły się w Pichanie w 1964 roku i były pierwszym objawem chorób, które przerodziły się w wielką „epidemię” raka płuc, rozprzestrzeniającą się we Wschodnim Turkiestanie. Dziesiątki tysięcy ludzi cierpiało z powodu tych chorób, a szczególnie mieszkańcy gęsto zaludnionych powiatów Kashgar, Khotan i Aksu. W latach osiemdziesiątych zaczął się rozpowszechniać rak wątroby, powodując śmierć ponad dziesięciu tysięcy osób w samym tylko dystrykcie Kashgar. Służby medyczne dystryktu zwróciły się do Pekinu o 10 milionów yuanów (ok. 1,5 miliona USD) dofinansowania na leki, ale otrzymały odmowę. Tymczasem nowotwory sieją spustoszenie wśród ludności Wschodniego Turkiestanu. Obecnie w samym Artusch w Kashgarze umiera 25 - 30 osób dziennie. Niezależna komisja medyczna w 1991 roku oceniła, że we Wschodnim Turkiestanie choruje ok. 170 tysięcy osób, a ok. 210 tysięcy zmarło na nowotwory, będące skutkiem napromieniowania. Fakty te zostały podane do wiadomości publicznej przez przewodniczącego International Commitete „Eastern Turkestan” Usupbecka Mukhlissi na VIII Antynuklearnym Kongresie w Bonn w październiku 1990 r., lecz pozostały bez echa.

Próby nuklearne prowadzone były w Xinjiangu do 1998 roku - były to eksplozje podziemne. Nikt nie wie, ile ich przeprowadzono. Wiadomo, że co najmniej kilkadziesiąt,

ale są źródła mówiące o 400. Spowodowane nimi wstrząsy sejsmiczne oraz skażenie radioaktywne po wybuchach naziemnych doprowadziły do ogromnego zniszczenia środowiska naturalnego. Wiele rzek i strumieni zmieniło swoje koryta lub wyschło. Zaburzone zostało krążenie wód podziemnych. Piaski pustyni Takla Makan pochłaniają co roku coraz to nowe, żyzne dotychczas tereny. W Turkiestanie Wschodnim można zaobserwować nieznanie nigdzie zjawisko: strumienie, wokół których życie biologiczne nie rozkwita, jak wszędzie na świecie w pobliżu wody, lecz zamiera, bo woda w nich jest tak skażona, że nawet rośliny nie mogą wegetować w jej pobliżu.

Turkiestan Wschodni, czyli prowincja Xinijiang zamieszkały jest przez ludność ujgurską i kazachską oraz chińskich muzułmanów. Wszystkie te społeczności są w ChRL dyskryminowane a nawet poddawane eksterminacji. Mao Zedong określał Ujgórów jako „naród zdradziecki”. Testy jądrowe przeprowadzono na tych terenach nieprzypadkowo i nieprzypadkowo nie ewakuowano ani nie ostrzegano ludności. Wiele wskazuje na to, że nawet celowo bombardowano zamieszkałe tereny. Działanie to ma wszelkie cechy przemyślanego ludobójstwa. Ostatnio komuniści chińscy dokonują eksterminacji Ujgurów i Kazachów w ramach „wojny z terroryzmem”.

Indie – Pakistan

Obydwa państwa od dawna były podejrzewane o posiadanie broni atomowej. Indie dokonały pierwszej podziemnej eksplozji w 1974 roku na poligonie Pokharan w pustynnym Radżastanie. Aż do maja 1998 roku była to jedyna eksplozja indyjska. Druga eksplozja, dokonana w 1998 roku, sprowokowała Pakistan do podobnej demonstracji siły (oba kraje znajdują się w stanie zamrożonej wojny, w obu do władzy dochodzili nie raz wojowniczy nacjonaliści). W rezultacie, w krótkim czasie, doszło do 11 eksplozji jądrowych (6 indyjskich i 5 pakistańskich). Wszystkie one, podobnie jak pierwsza indyjska, były wybuchami podziemnymi.

Gdy premier Indii Atal Bihar Vajpayee tryumfalnie przybył na miejsce wybuchów w stanie Radżastan, przywitała go demonstracja wrogo nastawionych chłopów, którym od wstrząsów zawaliły się domy. Premier oświadczył wówczas, że chłopcy powinni cieszyć się z tego, że Indie są mocarstwem atomowym, a nie biadolić nad swoimi domami.

Sytuacja jest o tyle groźna, że oba kraje nie tylko znajdują się w stanie wojny, ale i żyją w wielkiej nędzy. Społeczeństwa tych krajów entuzjastycznie popierają testy jądrowe, bo uważają, że broń atomowa przywraca im godność odebraną przez kolonializm, który zepchnął ich w biedę i zacofanie. Populistyczni politycy, a właśnie tacy w obu krajach czasami rządzą, mogą w przyszłości wykorzystywać broń atomową dla poprawy reputacji. Może też wystąpić pokusa użycia jej w nie zakończonej ciągle wojnie o Kaszmir i nie tylko o Kaszmir...

Opowiada świadek demonstracji poparcia dla prób atomowych w Rawalpindi (Pakistan): „Tłum ciągnie wielką makietę przypominającą radziecką raketę SAM-2, na której wypisano »Islamska bomba«”. Euforia dochodzi do zenitu. Tłum domaga się zrzucenia bomby na Indie. Skandują »Allah Akbar, Allah Akbar!« i nagle, jakby zapominając, kto jest ich wrogiem »Śmierć Ameryce, śmierć Ameryce ... śmierć Europie, Allah Akbar!«”

Korea Północna

Od lat wiadomo na pewno, że Korea Północna posiada broń jądrową. Dzięki ujawnieniu tzw. „pakistańsko-libijskiego śladu” wiadano, że KRL-D ma z całą pewnością od 2 do 4 bomb, oraz że realizuje dwa programy jądrowe. Pierwszy oparty o uran, a drugi o pluton. Do tej pory KRL-D przeprowadziła co najmniej 4 wybuchy jądrowe. Wszystkie próby były podziemne. Po ostatniej KRL-D twierdziła, że była to bomba termojądrowa, ale fachowcy

zachodni w to wątpią. Analitycy wywiadu USA przewidują, że jeśli nie powstrzyma się tych programów, jeśli świat będzie beczynny, to po pewnym czasie może mieć od 70 nawet do 150 bomb. Ile ich ma obecnie najbardziej tajny kraj świata, nikt nie wie.

Życie w cieniu wojny

O posiadanie bomby atomowej lub zaawansowane prace nad nią, podejrzewane są także Izrael i Iran. Wiadomo, że prace nad bronią atomową prowadził także Irak pod rządami Saddama Husaina (reaktor budowany dla niego przez specjalistów francuskich zbombardowało swego czasu izraelskie lotnictwo). Z całą pewnością państwa atomowe posiadają obecnie co najmniej 35.900 głowic jądrowych, z tego 19.775 gotowych do natychmiastowego użycia. Najwięcej, 22.500 głowic ma Rosja, później USA 12.070, Francja 500, Chiny 450, Wielka Brytania 380, Indie i Pakistan prawdopodobnie po kilka. Tyle dane oficjalne. Niektórzy eksperci twierdzą jednak, że prawdziwa liczba głowic jest dużo większa i może wynosić nawet 50 tysięcy.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z tego, jak blisko było kilkakrotnie w okresie „zimnej wojny” do użycia broni jądrowej na wielką skalę.

Pierwszym takim momentem była wojna w Korei, drugim kryzys kubański. Były jednak sytuacje groźne, a mniej znane. W czasie wojny w Wietnamie amerykańscy wojskowi rozważali użycie projektu „Davi Crockett”, czyli atomowych pocisków artyleryjskich o mocy ok. 1 kilotony.

Ogromne napięcie panowało w czasie kryzysu czechosłowackiego w 1968 roku i nieco później. To wtedy w ZSRR odbywało się najwięcej manewrów z użyciem bomb atomowych. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych doszło do wielkiego napięcia na tle amerykańskiego projektu budowy bomby neutronowej, a więc takiej, która prawie nie ma podmuchu, ale niezwykle groźnym promieniowaniem neutronowym zabija ludzi, nie niszcząc sprzętu. Wojska Układu Warszawskiego postawiono w stan pogotowia, gdy prasa belgijska doniosła o pomysłe zaminowania granic kraju takimi bombami. „Jakże to tak, to nasze wojska, nasze czołgi, nie będą mogły wjechać do Belgii?” - wymknęło się podobno Andropowowi.

Wydaje się, że prac nad tym projektem zaniechano, bo podobno skuteczność tego pomysłu okazała się mniejsza, niż przewidywano.

Na początku lat siedemdziesiątych amerykański bombowiec B-52 zgubił bombę atomową nad Grenlandią. Bomba nie wybuchła i Amerykanie długo nie chcieli się przyznać do tego wypadku. Gdyby wybuchła, istniało niebezpieczeństwo, że zwiad amerykański uznałby to za atak ZSRR. Dalej wiadomo.

Przy okazji wyszło na jaw, że amerykańskie B-52 z bombami atomowymi cały czas krążą wokół granic Układu Warszawskiego. Latano nie tylko nad morzami, ale i nad Europą. Jeden B-52 mógł zabrać cztery bomby o mocy 20 megaton, o łącznej sile niszczącej większej 4000 razy od bomby zrzuconej na Hiroszimę, większej niż wszystkie bomby klasyczne zrzucone w czasie II wojny światowej i wojny w Korei łącznie.

Wydało się też, że wcześniej, w styczniu 1970 roku, u wybrzeży Hiszpanii, rozbił się w Morzu Śródziemnym bombowiec B-52 z czterema bombami atomowymi. Szybko wyłowiono trzy z nich, a czwartej szukano jeszcze kilka miesięcy i znaleziono na głębokości 900 metrów dzięki użyciu batyskafu. Ekipom poszukującym nie chciano powiedzieć, czego właściwie szukają. Musiały się zadowolić oświadczeniem: „jak to zobaczycie, to sami będziecie wiedzieli, że jest to”.

Od początku prezydentury Ronalda Regana wojskowi i politycy ZSRR byli przekonani, że administracja Regana planuje dokonać niespodziewanego uderzenia atomowego na państwa Układu Warszawskiego. Wywiad KGB prowadził wówczas operację „RJaN” (skrót od Rakietowyj Jądrowyj Nariad) mającą na celu przewidzenie tego uderzenia. Wojskowi

radzieccy planowali dokonanie uderzenia wyprzedzającego, a skorumpowany i nieudolny wywiad KGB składał meldunki pod zapotrzebowanie centrali. Jego oficerowie, chcąc się wykazać i nie chcąc przyznać się, że niewiele wiedzą, meldowali o ruchach wojsk i innych wydarzeniach, których wcale nie było. Na podstawie tych meldunków przywódcy ZSRR byli całkiem blisko decyzji o uderzeniu wyprzedzającym.

Ten incydent ujawnia zagrożenie związane z samym istnieniem broni jądrowej. Wywiady państw totalitarnych, takie jak KGB, wbrew legendzie, wcale nie są super sprawne, a wręcz przeciwnie, na ogół są skryminalizowane, nieudolne, często bardziej zajęte dziwnymi biznesami i przekrętami niż robotą, którą powinny wykonywać. Takie wywiady dostarczają swoim centralom bardzo często zupełnie błędne informacje, na podstawie których ktoś może podjąć decyzję o naciśnięciu atomowego guzika.

Podobny niebezpieczny moment miał miejsce na początku listopada 1983 roku, kiedy to rządzący, po śmierci Leonida Breżniewa, Jurij Andropow był w pełni przekonany, że amerykańskie ćwiczenia „Zdolny Łuczniczka 83” są tylko manewrem maskującym niespodziewane uderzenie atomowe. 6 listopada KGB rozesłało do swoich placówek depechę, że „czas od podjęcia przez prezydenta USA decyzji o ataku do jego rozpoczęcia wyniesie 7-10 dni”. Sugerowano w ten sposób, że ponieważ ćwiczenia, uważane tylko za kamuflaż, rozpoczęły się 2 listopada, to do ataku na ZSRR pozostało tylko 3-6 dni. 8 listopada wojska rakietowe i lotnictwo radzieckie postawione zostały w stan najwyższej gotowości. Samoloty uzbrojone w bomby atomowe stały na pasach startowych. Odkryto pokrywy silosów z raketami balistycznymi. Cud, że nikomu nie drgnął palec na atomowym przycisku.

Panika Andropowa nie była pozbawiona podstaw. Pokazał to dobitnie późniejszy incydent, gdy niemiecki nastolatek, Mathias Rust, nielegalnie przeleciał niewielkim samolotem z Finlandii do Moskwy i wylądował w pobliżu Kremla, nie zauważony przez zwiad przeciwlotniczy ZSRR. Wojskowi radzieccy musieli sobie zdawać sprawę z tego, że lecący na małej wysokości pocisk manewrujący, np. Tomahawk, jest w stanie bez przeszkód osiągnąć każdy cel w ZSRR.

Następny kryzys wystąpił we wrześniu i październiku 1993 roku w czasie konfliktu między Borysem Jelcynem a parlamentem. Gdy w Moskwie Jelcyn rozstrzeliwał parlament z armat, minister obrony Paweł Graczwos doszedł do wniosku, że Amerykanie mogą wykorzystać kryzys do niespodziewanego ataku i postawił w stan gotowości wojska rakietowe oraz Flotę Pacyfiku. Amerykańscy analitycy nie mogli uwierzyć, że ktoś bawi się raketami w czasie takiej zadymy w stolicy i doszli do wniosku, że to Rosja chce wykonać nagłe uderzenie atomowe.

25 stycznia 1995 roku o godzinie 6.24 rano oficerowie wojsk rosyjskich zobaczyli na ekranach radarów tajemniczy obiekt zachowujący się jak amerykańska rakietka Trident wystrzelona z okrętu podwodnego. Była to norweska rakietka meteorologiczna, o której wystrzeleniu dyplomacja Norwegii, zgodnie z międzynarodowymi umowami powiadomiła 20 dni wcześniej ambasadę Rosji, ale ta zapomniała przekazać informację do Moskwy. O 6.28 Borys Jelcyn trzymał już palec na przycisku atomowej walizeczki. Przez dwadzieścia minut generałowie obserwowali na radarach lot rakiety a Jelcyn wahał się, który wariant kontruderzenia przyjąć, czy tylko na ograniczone cele w Europie, czy maksymalny, na Europę, USA, Chiny i Japonię jednocześnie. Po tym czasie rakietka zgodnie z planem wpadła do morza.

Zimna wojna dawno się skończyła, ale niebezpieczeństwa wybuchu przypadkowego konfliktu atomowego na pewno nie można uznać za przeszłość. Wywiady, sztaby i rządy dwóch państw atomowych, Rosji i Chin są skorumpowane i nieudolne, jak wszystko w tych krajach i mogą podejmować nieobliczalne decyzje. W przekonaniu ludzi Zachodu, w Rosji i w Chinach minęły już czasy, gdy u rządu zasiadali nieobliczalni psychopaci, jednak ja, od lat analizując politykę tych krajów, nie rozumiem, na czym to przekonanie jest oparte.

Wymieniłem tylko najpoważniejsze kryzysy. Według danych amerykańskich, obrona przeciwrakietowa USA w latach 1977-84 ogłaszała aż 20.784 fałszywe alarmy o zbliżającym się ataku raketowym na USA. Analogiczne dane innych państw nie zostały ujawnione.

Obecnie dodatkowe niebezpieczeństwo przypadkowego wybuchu konfliktu jądrowego stwarza wojna w Ukrainie.

Żółty las

Na świecie znajduje się obecnie co najmniej setka elektrowni jądrowych i znacznie większa liczba reaktorów atomowych. W Polsce reaktor znajduje się na przykład w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku tuż pod Warszawą. Ogromna większość reaktorów nie stanowi praktycznie żadnego zagrożenia dla ludzi i środowiska naturalnego, o ile warunki ich eksploatacji są normalne. Reaktory znajdujące się w elektrowniach, instytutach badawczych, na statkach, w okrętach podwodnych itp. zaczynają być jednak groźne na styku energii jądrowej z komunizmem lub bałaganem. Nie jest przypadkiem, że w praworządnych krajach nie doszło dotąd do żadnej rzeczywistej katastrofy reaktora. Prasa nadawała wprawdzie wielki rozgłos drobnym wyciekom i niewielkim awariom, ale były to wydarzenia bardziej medialne niż rzeczywiste.

Wbrew powszechnemu wyobrażeniu, reaktor atomowy jest urządzeniem bardzo prostym i naprawdę trzeba bardzo się starać, by coś w nim zepsuć, a do tego, by doszło do katastrofy, nie wystarczy jeden błąd, czy nawet kilka usterek. Do tego potrzebna jest cała lawina błędów, zaniedbań i lekceważenia ludzkiego życia, czyli właśnie komunizm lub kompletny chaos. To nie przypadek, że do poważnych wypadków z udziałem reaktorów doszło do niedawna wyłącznie w ZSRR i Rosji. Piszę „do niedawna”, bo później wydarzyła się katastrofa w Fukushima, w Japonii, ale tam przyczyną było gigantyczne trzęsienie ziemi i równie gigantyczna fala tsunami. Trudno to uznać za „awarię” reaktora. Było to raczej zniszczenie elektrowni atomowej przez kataklizm przyrody.

Z reaktora może nastąpić wyciek radioaktywnych substancji, może też nastąpić pożar, w czasie którego wydostanie się radioaktywny dym. Reaktor nie jest jednak bombą, ma zupełnie inną budowę i nie może eksplodować tak, jak bomba. Właśnie dzięki temu hitlerowcom nie udało się zbudować bomby atomowej. Mieli oni błędną koncepcję zrzucania reaktora i doprowadzania do jego eksplozji, a to właśnie okazało się niemożliwe. Mimo wysiłków niemieckich fizyków, reaktor w żaden sposób nie chciał wybuchnąć. Wbrew temu, co głoszą ekolodzy, bać się trzeba bomb, a nie reaktorów, chyba, że znajdą się one na styku ze schizofreniczną polityką, ale na tym styku niebezpieczne jest niemal wszystko.

Do pierwszej wielkiej katastrofy jądrowej doszło w latach siedemdziesiątych w zakładach produkujących paliwo jądrowe w Czelabińsku na Uralu. Nastąpiło wielkie skażenie terenu i zginęło wielu ludzi, ale blokada informacyjna była tak szczelna, że przez 20 lat nikt z zewnątrz o tym nie wiedział, a i do dziś niezbyt dokładnie wiadomo, co właściwie się stało.

Najbardziej spektakularną katastrofą był pożar reaktora elektrowni w Czarnobylu w 1986 roku. Był on wynikiem nie tylko serii zaniedbań, ale i całkowitego zlekceważenia sygnałów o zagrożeniu wypadkiem przez władze ZSRR.

Bezpośrednio w czasie akcji gaszenia zginęło 35 osób. Później z powodu napromieniowania zmarło ok. 4 tysięcy osób, a ponad 70 tysięcy doznało trwałego uszczerbku na zdrowiu. Na Ukrainie uznano 3,5 miliona osób, za poszkodowane na skutek katastrofy, z których 1,5 miliona wymaga leczenia. Według Ministerstwa Zdrowia Ukrainy, w latach 1981-85 w Kijowie nie było ani jednego przypadku raka tarczycy wśród dzieci. Od katastrofy w Czarnobylu zanotowano ich już 1400. Trzeba jednak zaznaczyć, że część badaczy kwestionuje te liczby, twierdząc, że Ukraina zawyża liczbę ofiar, by wyłudzić pomoc. Eksperci

twierdzą, że wcześniejszych przypadków raka tarczycy u dzieci nie stwierdzano, bo nie prowadzono badań i statystyk.

Istnieją dokumenty świadczące o tym, że wszystkie służby ZSRR były przekonane o groźącym gigantycznym skażeniu i że nic nie zrobiły, by chronić ludzi. Mało tego, z powodów politycznych ludzi świadomie narażano.

21 lutego 1979 roku, na siedem lat przed awarią, ówczesny szef KGB, Jurij Andropow, powiadomił na piśmie najwyższe władze ZSRR, że w Czarnobylu nagminnie lekceważone są procedury bezpieczeństwa i w związku z tym grozi katastrofa reaktora. Władze nic, w związku z tym, nie zrobiły.

Gdy doszło już do katastrofy, przez kilka dni ukrywano ją przed światem, bezczelnie kłamiąc, że nic się nie stało. Nie odwołano etapu kolarskiego Wyścigu Pokoju rozgrywanego w Kijowie a nawet amatorskiego meczu piłkarskiego na boisku mieszczącym się niecały kilometr od płonącego reaktora. Później okłamywano świat i własne społeczeństwo na temat wielkości skażenia.

Nie podjęto od razu akcji ratunkowej, tylko zwlekano z nią kilka dni pozwalając, by wiatry roznosiły radioaktywny dym i pyły na ogromnej przestrzeni. Gdyby do gaszenia reaktora przystąpiono natychmiast, skażenie byłoby znacznie mniejsze. Wszystkie służby, które powinny być kompetentne, nie zostały wcale przygotowane na taką sytuację i zupełnie nie wiedziały, co mają robić, choć z pisma Andropowa wynika, że o groźącej katastrofie wiedziano już siedem lat wcześniej.

Opowiada Swietłana z Ukrainy: „Miałam narzeczonego, który służył w wojsku w Semipałatyńsku. Stał na warcie za betonową osłoną pilnując rakiet z głowicami jądrowymi. Gdy zaczął się pożar w Czarnobylu, wezwano go ponownie do wojska i skierowano do gaszenia reaktora. Spytał: »Dlaczego ja?«. Usłyszał: »Bo mamy w kartotece, że jesteście już napromieniowani«. Zасыpywał łopatą płonący reaktor. Dostał tylko maskę przeciwgazową i wódkę, jako jedyne zabezpieczenie. Zmarł po tygodniu.»

Opowiada Sierhiej z Białorusi. „W tamtym czasie byłem w wojsku. Nasi dowódcy nic nie wiedzieli, co właściwie się dzieje. Ogłoszono alarm i wydano nam ostrą amunicję. Powiedziano, że w Homlu wybuchły rozruchy i ludność rabuje sklepy. Staliśmy dwa dni w lesie pod Homlem i wróciliśmy do swojej jednostki dalej nic nie wiedząc, o co chodzi.»

W skażonej „zonie” znajdowało się szereg towarów i obiektów, które władza za wszelką cenę chciała odzyskać. Była na przykład farma świńska. Wszyscy byli przekonani, że mięso tych świń nie nadaje się do spożycia z powodu pochłoniętej dawki promieniowania. Ale jak tu odpuścić tyle świń? Wymyślono więc metodę. Świnie dwa razy w tygodniu zmywano natryskami i tuczono dalej. W ten sposób były już „odkażone”. Samochód, który zabierał je do rzeźni przejechał po gaszonym wapnie i był już „odkażony”.

Ludność wysiedlona z „zony” dostała mieszkania w miastach, głównie w Mińsku na Białorusi oraz w miasteczku Sławutycz na Ukrainie. Większość tych ludzi zaczęła jednak te mieszkania wynajmować i wróciła do swoich domów w „zonie”. Na skażonych terenach powszechnie zbiera się jagody i grzyby. Sprzedaje się je nawet w Polsce. Promieniowania nie widać, a w białoruskiej biedzie trzeba jakoś żyć. Gdy spytałem na Ukrainie starszą kobietę, czy grzyby, które sprzedaje w pobliżu „zony” są bezpieczne, odparła: - „Oczywiście - sama zbierałam”.

„Zona” to cały osobny temat przypominający atmosferę opowiadania Strugackich „Piknik na skraju drogi”. „Zona”, podobnie jak inne silnie skażone miejsca na ziemi, ma swoich „stalkerów”, czyli ludzi żyjących z rozkradania pozostawionych w niej urządzeń, ale i stała się dla wielu ludzi azylem bez władzy. W „zonie” nie ma administracji, więc ściągają do niej ukrywający się przestępcy, anarchiści, artyści i pięknoduchy różnej maści. Według oszacowań ukraińskich w „zonie” mieszka około 100 tysięcy ludzi. Promieniowania przecież nie widać.

Promieniowanie jednak jest. Jest mniejsze niż po wybuchach bomb atomowych, ale to nie znaczy, że nie jest groźne. Jest za małe, by zabijać od razu, ale przez to podstępne. Człowiek przybywa do „zony” i żyje, dobrze się czuje, choroba przyjdzie po latach. Tymczasem nawet wśród roślin widać już zmiany genetyczne. W „zonie” rośnie „żółty las”.

- Ten las tak na prawdę nie jest „żółty”, tylko zielony - mówi Sierhiej - ale od razu widać, że ta zieleń jest inna. Rośliny są jakieś inne. Nawet pod samym Mińskiem można zobaczyć takie rzeczy, że rośnie liść, a z niego wyrasta drugi liść.

Wsie w „zonie” odwiedził prezydent Łukaszenka. Chwalił mieszkańców i przekonywał, że można tu żyć bezpiecznie. Jednak, gdy poczęstowano go mlekiem z „zony”, nie chciał wypić.

Podobne zjawiska obserwuje się we wszystkich skażonych strefach na ziemi. W sztucznym zbiorniku w pobliżu Semipałatyńska pojawiły się ryby bez oczu, żółwie morskie na atolu Bikini straciły orientację w kierunkach, ujugurscy wieśniacy z okolic jeziora Lop Nor opowiadają o krokodylach z dwoma parami oczu i rakach ze szczypcami długimi na metr. „Zona” wokół Czarnobyli jest z tych wszystkich miejsc strefą akurat najmniej skażoną i, o ironio, jedyną, w której zabroniono ludziom mieszkać.

Beztroska, bałagan i groza

W 1996 roku generał Lebedź, mocno kontrowersyjna postać rosyjskiej polityki, ogłosił, że z magazynów wojskowych zginęło ponad sto atomowych „bomb walizkowych” służących do dokonywania podstępnych zamachów na terytorium wroga. Nie wiem, czy „bomby walizkowe” w ogóle istnieją, czy też są produktem wyobraźni generała Lebedzia. Nawet mała bomba atomowa waży kilkaset kilogramów, więc musiałyby być raczej „wózkowa” niż „walizkowa”, ale incydent ten ujawnił nowe zagrożenie.

Rozpad Związku Radzieckiego i powstały przy tej okazji chaos, spowodowały wiele przypadków rozkradania materiałów rozszczepialnych i nawet cały proceder przemytu tych materiałów, w tym przemytu do państw marzących o broni atomowej i bardzo lubiących terroryzm.

Prasa zachodnia wielokrotnie już ostrzegała, że instrukcja budowy bomby atomowej jest powszechnie dostępna i znaleźć ją można nawet w Internecie. Dla konstruktorów amatorów i terrorystów istniała jednak poważna bariera. Trzeba było w tym celu zgromadzić dużą ilość uranu lub plutonu, a to w normalnych warunkach nie jest takie proste.

Okazuje się jednak, że w byłym ZSRR niemal wszystko i niemal wszędzie można ukraść. Przy okazji katastrofy okrętu podwodnego Kursk wyszło na jaw, że najbardziej tajny okręt atomowy przenoszący rakiety z głowicami jądrowymi, wyszedł w morze bez zapasowych akumulatorów, bo w najbardziej tajnej bazie floty rosyjskiej rozkradziono akumulatory z najbardziej tajnego okrętu.

Wypada postawić sobie kilka pytań. Co rozkradzono z silosów rakiet balistycznych z głowicami jądrowymi, skoro można było ukraść akumulatory z Kurska? Czy tylko miedziane kable do odpalania tych rakiet, czy też może zabezpieczenia przed ich przypadkowym odpaleniem? A może ktoś ukradnie głowicę jądrową?

Przy okazji katastrofy Kurska okazało się też, że władze Rosji nadal kłamią w najlepszym radzieckim stylu. Podano komunikat, że nawiązano z załogą Kurska kontakt radiowy, że reaktor jest wyłączony i zabezpieczony. Później okazało się, że najprawdopodobniej cała załoga zginęła w ciągu sekund i żadnej łączności z nią nie było. Redagujący ten komunikat nawet nie wiedzieli, że na Kursku są dwa reaktory a nie jeden. Co więcej Kursk nie był pierwszym radziecko-rosyjskim okrętem atomowym spoczywającym razem ze swym reaktorem na dnie morza (ale jedynym, który wydobyto). Od lat na dnie u wybrzeży Norwegii spoczywa Czerwony Konsomolec ze swoimi reaktorami i raketami, a u wybrzeży wysp

Kurylskich spoczywa na dnie od lat 60-tych atomowa łódź podwodna K-129. Wiadomo też, że w północnych portach stoi wiele rdzewiejących atomowych okrętów podwodnych niezdatnych do użytku i częściowo już pozatapianych. Wiadomo, że wyciekają z nich do morza substancje radioaktywne i w Rosji nikt się tym specjalnie nie przejmuje.

Stan zaniedbania rosyjskich wojsk rakietowych i marynarki wojennej najlepiej obrazują manewry na Morzu Barentsa, w których brał udział prezydent Putin. Miał to być pokaz sprawności i odstraszenia. Tymczasem z trzech zaplanowanych do wystrzelenia rakiet zdolnych do przenoszenia głowic jądrowych, pierwsza wybuchła w powietrzu nad okrętem, druga spadła 100 metrów od niego do morza a trzecia w ogóle odmówiła startu. Parę lat wcześniej rosyjski krążownik, „Admirał Łazariew”, tak skutecznie sam się trafił własną rakieta, że nigdy już więcej nie wyszedł w morze. Później wyszło na jaw, że inny krążownik, „Piotr Wielki”, jest w takim stanie technicznym, iż podobno „reaktor może mu wypaść przez dno”. To ostatnie stwierdzenie jest chyba przesadą, ale dobrze na pewno nie jest.

Katastrofa Czarnobyli pokazała, że w elektrowniach atomowych ZSRR nie było żadnych przygotowanych na katastrofę służb ratowniczych i żadnych opracowanych procedur. Jak znam Rosję i inne kraje WNP, mogę się założyć, że nie ma ich nadal. Kursk wyszedł w morze pomimo braku jakiegokolwiek sprzętu ratunkowego i wyszkolonych ekip ratunkowych. Ta sama radziecka logika: „ludziej u nas mnogo”. Czego się zresztą spodziewać po kraju, który zrzucił bomby atomowe na własnych obywateli?

Trzeba jeszcze wspomnieć, że nie tylko radzieckie atomowe okręty podwodne tonęły. Amerykanie stracili w ten sposób w 1963 roku okręt podwodny Thresher, a następnie, w 1968 roku, okręt podwodny Skorpion.

Trzeba jeszcze wspomnieć, iż Amerykanie próbowali potajemnie wydobyć zatopiony sowiecki okręt K-129. Zbudowali nawet w tym celu specjalny statek dźwig. Jednakże podczas podnoszenia okręt K-129 złamał się na pół i opadał na dno Pacyfiku. Właściwie nie wiadomo, co się dzieje z jego reaktorem.

Nasi nie lepsi

Przypomnijmy jeszcze jak zachowały się polskie władze komunistyczne wobec katastrofy w Czarnobyli.

Pożar wybuchł o 1.26 w nocy z soboty na niedzielę 26 kwietnia 1986 roku. W poniedziałek rano, 28 kwietnia, stacja radiacyjna w Mikołajkach poinformowała Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej o gwałtownym wzroście promieniowania. Naukowcy zastanawiali się, co się stało i co robić. We wtorek nad ranem prof. Zbigniew Jaworowski z Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej został wezwany do KC. Dwie doby po katastrofie.

Opowiada prof. Jaworowski: „Przedstawiłem tam możliwe scenariusze rozwoju skażeń. Wszystkie niepewne (ZSRR ciągle zaprzeczał, że coś się stało). Zaproponowałem działania ochronne:

- * jednorazowe podanie jodu dzieciom we wschodniej połowie kraju [...]
- * zamknięcie szkół
- * odwołanie pochodu pierwszomajowego.

Dwa ostatnie postulaty z miejsca odrzucono.

[...] Powiedziałem, że musimy podawać do publicznej wiadomości wszystkie informacje o skażeniach. To spotkało się ze zdecydowanym oporem. Najmocniej oponował ówczesny rzecznik prasowy - Jerzy Urban. Wtedy użyłem argumentu: Nie możemy nic ukrywać, bo stracimy wiarygodność wśród importerów naszej żywności. Stracimy setki milionów dolarów. To poskutkowało.”

Dzięki podstępowi prof. Jaworowskiego, Polska jako pierwszy kraj komunistyczny podjęła akcję zapobiegawczą i ogłosiła fakt skażenia dwie i pół doby od katastrofy. Pochód pierwszomajowy jednak się odbył. Promieniowanie promieniowaniem, a ideologia ideologią.

Czy strach się bać?

I tak i nie. Nie należy bać się elektrowni jądrowych. Są one nieuchronnym następstwem rozwoju technologii. Odkąd człowiek po raz pierwszy wziął do ręki kamień jako narzędzie, zaczął obcować z siłami większymi, niż siły jego mięśni. Przez całą historię cywilizacji i techniki igramy z coraz większymi siłami i od tego nie uciekniemy. Strach przed tymi siłami był zawsze, ale z drugiej strony nie możemy się już bez nich obejść. Oczywiście zawsze może nastąpić taka katastrofa naturalna jak w Fukushima (trzęsienie ziemi o sile 9 stopni w skali Richtera), ale naprawdę groźnie jest co innego: głupota. W Fukushima było sporo ofiar trzęsienia ziemi i tsunami, ale trudno udowodnić, by ktokolwiek zginął z powodu zniszczenia reaktora. Ocalałych po tsunami natychmiast ewakuowano poza strefę skażenia i natychmiast zaczęto akcję ratunkową. Gdyby tak samo postąpiono w Czarnobylu, na pewno nie byłoby tylu ofiar. Gdyby nie kompletne lekceważenie zasad bezpieczeństwa i gdyby nie komunistyczny bajzel, pewnie w ogóle ni byłoby tej katastrofy.

Bać się trzeba ogromnych arsenałów bomb i szaleńców u władzy, takich jak wodzowie Północnej Korei i nie tylko oni. Dokąd istnieją gigantyczne arsenały jądrowe oraz rządzący szaleńcy, niczego nie można wykluczyć.

W opracowaniu pominąłem opis awarii w Fukushima oraz irański plan budowy bomby atomowej (na szczęście chyba już wstrzymany). To są już jakby elementy innej bajki.